

Rzeczywistość jest ciekawsza

Ze Stanisławem Lemem rozmawia Łukasz Maciejewski

S.L.: To o czym chce Pan ze mną rozmawiać?

Ł.M.: *O Pana „optysemizmie”: rzeczywistości, w stosunku do której ani optymizm ani pesymizm nie są terminami usprawiedliwionymi, a pojęcia sacrum i profanum wzajemnie się przenikają.*

Tylko czy to kogoś naprawdę interesuje, ale proszę próbować.

Powtarza Pan często, że tylko jednego możemy być w życiu pewnym: że nie na nas nie spotka po śmierci.

Kilka lat temu ks. Stanisław Obirek zaprosił mnie do udziału w ankiecie pod tytułem: *W co wierzy ten, co w nic nie wierzy?* Odpisałem, że wszystko ma swój początek, ma też swój koniec. Każde życie przebiega dokładnie według podobnego schematu – to prawo obowiązujące także w świecie gwiazd, słońca. Po mojej śmierci będzie dokładnie to, co było przed moim narodzeniem: nic nie będzie. Skoro nie mam żadnych wspomnień z bitwy pod Grunwaldem, bo mnie zwyczajnie wtedy nie było na świecie, to – mam nadzieję – nie będę także niczego wiedział po tym, kiedy mnie już nie będzie.

Jedyna pociecha w tym, że zawsze umierają inni.

Tak, to jest pewna pociecha, bo nie wierzę w bajki, że nasi bliscy oglądają nas z lotu ptaka, z zaświatów. Dzieciom takie opowieści się podobają, mnie niespecjalnie.

Wiara pomaga żyć.

Uznaję, że w rozumieniu społecznym religia jest ludziom potrzebna, tak jak potrzebna jest nadzieja na życie wieczne, na spotkanie drogich zmarłych, wiekuiście szczęście. Kiedy miałem się żenić, moi rodzice zażyczyli sobie, żeby odbył się ślub kościelny. Pewien duchowny, bodajże dominikanin, usiłował nawrócić mnie wtedy na wiarę w Boga. Robił to jednak w sposób wyjątkowo naiwny – opowiadając o bezkresie piekielnych mąk, którym będę poddawany. Powiedziałem mu wówczas, że niby dlaczego mają mnie z taką radością smażyć, w końcu przez całe życie staram się zachowywać przyzwoicie. Usłyszałem wtedy, że nie muszę tego robić, bo jestem niewierzący. To dosyć żałosne – ale, powiem Panu, że nawet gdybym dostał w prezencie od Pana Boga oprawioną w skórę legitymację upoważniającą do kradzieży, rozbojów i zapasów, zdaje się, że wyrzuciłbym ją do kubła na śmieci.

Świat nauki jest ważniejszy od świata religii?

Nauka ma nad religią tę przewagę, że czasami się myli, ale potrafi swoje błędy skorygować, tymczasem wyznań jest wiele, ale każde chce być tym wyjąt-

kowym, jedynym na kuli ziemskiej. Nie ma we mnie potrzeby chronienia buddyzmu ani innych religii, wizje nieba są tak liczne, że można by z powodzeniem napisać książkę zatytułowaną *Encyklopedia zaświatów*. Rzymskochrześcijańskie mrzonki o raju wydają się cokolwiek mgliste, prawdę mówiąc wolałbym raczej wybrać się do raju muzułmańskiego. W Koranie jest obietnica, że będą tam nas wachlowały efektowne hurysy.

Naprawdę tylko w ten sposób postrzega Pan sferę religijności?

Kiedy byłem dzieckiem, rodzice kładli dla mnie pod choinką miłe dla oka prezenty. Cieszyłem się z tych boskich wizyt, ale po pewnym czasie zdałem sobie sprawę, że gdyby naprawdę św. Mikołaj chciał obdarować raz w roku wszystkie dzieci, musiałby przybrać miliardową postać. Raczej trudno w to uwierzyć. To jest moje zdanie, nikogo nie chcę ani przekonywać do swoich przekonań, nie zamierzam także negować istnienia siły wyższej. Nie przeczę, że – być może – czuwa nad nami jakaś Opatrzność. Moja żona twierdzi, że wiele razy bliski byłem śmiertelnego niebezpieczeństwa i zawsze wychodziłem z niego zwycięsko.

Przygotowane przez „Wydawnictwo Literackie” huczne obchody Pana osiemdziesiątych urodzin sprzed dwóch lat zostały wyznaczone na 11 września. To była ta feralna opatrzność?

Nie wierzę w symbolikę liczb. Prastara szkoła pitagorejska opierała się na mitologii cyfr, ale ja zawsze byłem chłodny w stosunku do mitów.

Oglądając wtedy w telewizorze samoloty, które uderzały w wieże Manhattanu, w pierwszej chwili – jak każdy – pomyślałem, że chodzi o film z gatunku science fiction, potem okazało się, że była to ponura prawda. Oczywiście uroczystość została storpedowana – miały być śpiewy i tańce, a musiano ograniczyć się do wymiany grzeczności.

Współczesną biblią pauperum nie są mity, lecz choćby sekty, organizacje o charakterze religijnym.

Wiem, że na nowo popularny staje się buddyzm, ale to nie jest przecież sekta, tylko wyznanie odmienne w stosunku do chrześcijaństwa, tej samej klasy, co na przykład islam. Natomiast sekty oczywiście istnieją także. Najprostszą metodą przeciwdziałania im byłoby dać tym wszystkim biedakom po pupie, ale ja nie wiem, czy to by coś pomogło. Poprzedni wiek niby nowoczesnej cywilizacji znał już niejedną sektę samobójczą, która zajmowała się masowym katrupieniem. Po pojawieniu się komety Hale-Boppa członkowie pewnej sekty, której nazwę z miłosierdzia przemilczę, pokornie położyli się na dywanie, wcześniej zażywając jakiś środek śmiertcionośny. Wmówiono im, że ich ciała powędrują na pokład rakiety, która polecą za kometą do nieba. Oczywiście nie takiego się nie wydarzyło, poza tym, że ludzie ci zamienili się w nieboszczyków, a lokum, które zamieszkiwali, zaczęło wkrótce cuchnąć trupim rozkładem. Za takie sekty to ja, proszę Pana, uprzejmie dziękuję.

Sekt jest dzisiaj więcej niż kiedykolwiek.

Niestety jest nas za dużo. W tej chwili populacja ludzka wynosi jakieś sześć miliardów sto kilkadziesiąt milionów, a samych Chińczyków jest miliard trzysta

milionów. A im więcej ludzi, tym liczniejsza wśród nich grupa, delikatnie mówiąc, rozmaitych odchyleńców, czyli dewiantów, a brutalniej – wariatów, którzy na dodatek łączą się w jakieś grupy i wymyślają na własny użytek niestworzone teorie. Nazywanie ich sektami wydaje mi się aż nazbyt wielkim komplementem.

Pisząc przed laty o „fantomatyce”, przewidywał Pan rzeczywistość wirtualną, ekspansję czegoś, co później zostało nazwane Interentem. A teraz wydaje się Pan mocno rozczarowany postępami tego „dziecka”. Internet poza ogromnym walo-rem informacyjnym nie stał się, i raczej nie stanie, silnym medium o charakterze rozumowym, intelektualnym. W miarę upływu czasu wartościową treść obecną na stronach www w coraz większym stopniu zastępuje niekontrolowana w żaden sposób informacyjna siećka.

Ma Pan absolutną rację – trzeba do tego zachować dystans. Nie jestem prezydentem Stanów Zjednoczonych, nie mam tarczy antyrakietowej, mam za to filtr antyinternetowy w postaci mojego sekretarza. On ma komputer, modem, drukarkę, skaner i mnóstwo innych przedmiotów, od których jestem na szczęście oddzielony. Z chwilą gdy został upubliczniony mój adres e-mailowy każdego dnia jestem zasypywany tonami korespondencji. Pisują do mnie najczęściej dzieci albo dziwacy. Ostatnio drogą e-mailową otrzymałem obszerną historię powstania Wawelu oraz propozycję tłumaczenia zjawisk nadprzyrodzonych. Kanadyjski krytyk przysłał mi e-maila z informacją, że coś tam o mnie napisał i że mogę tego szukać w takim a takim amerykańskim serwerze, ale mnie się nie chce tego szukać! Normalną pocztą przysłano mi kasetę wideo zatytułowaną *Polskie UFO*, co by oznaczało, że jest jakieś specyficznie polskie UFO, czego jednak nie podejrzewałem.

I jak Pan radzi sobie z tym bełkotem informacyjnym?

Przed dostarczającymi prąd turbinami, w których gromadzone są wielkie zasoby wody, muszą być zamontowane urządzenia zatrzymujące muł, bo inaczej by się to wszystko kompletnie zamuliło. W ten sam sposób pracuje mój sekretarz, który „odmula” tę korespondencję. Trudno jednak odmulić to, co przynosi listonosz. A przynosi rzeczy zastanawiające. Ciągłe otrzymuję paczki pełne książek, którymi nie jestem zainteresowany. Niestety nastał teraz wielki urodzaj na młodą poezję i hurtowo otrzymuję rozmaite tomiki do recenzji. Żeby to był jeszcze jakiś jeden, skromny tomik – ale gdzie tam, dostaję od razu cztery książki z żądaniem, żebym to wszystko jak najszybciej ocenił. Kiedy ja mam to robić? Przecież Pan widzi, co się u mnie dzieje na stole – tony papierzysk nie do przebrnięcia. I na dodatek jakiś tam Johanssem Schreck przysyła mi wycięte kartki z anglojęzycznych szwedzkich pism naukowych, sugerując, żebym się wreszcie dokształcił. Ja już powoli zaczynam bać się rozcinać koperty w obawie przed tym, co z nich wyskoczy.

To wszystko bardzo przypomina casus zbója Gębona z „Cyberiady”, który skończył przywalony trylionami informacji.

Mam proste porównanie. Za PRL-u w ogóle niewiele można się było dowiedzieć o czymkolwiek, ponieważ istniała cenzura. A kiedy była zupełna cisza, pojedynczy głos rozlegał się bardzo wyraźnie, kiedy jednak wszyscy krzyczą

różne rzeczy naraz, to robi się taki wrzask, że już nie nie można zrozumieć. Pojedyncza informacja nie ma dzisiaj szansy na przebicie się do naszej świadomości. Mój niemiecki agent ma w domu telewizor monstrualnych wręcz rozmiarów. Kiedyś zapytałem go, po co mu to wszystko. Odparł, że ogląda na nim wyłącznie stareńkie czarno-białe komedie francuskie sprzed pięćdziesięciu lat. Dawniej nie było nadmiaru. Ale niedosyt jest równie szkodliwy jak nadmiar. W efekcie wychodzi na to samo.

Także w problemie „nadmiaru” widziałbym genezę dramatycznych przeczuć na temat przyszłości gatunku ludzkiego. Afirmowany m.in. przez Billa Gatesa tajemniczy „Ginger” jeszcze się nie zdefiniował, a już został skompromitowany.

Czarne prognozy są domeną naszych czasów. Na konferencji w Davos korespondent pisma „Wired” zwrócił się do wszystkich uczonych świata ze spektakularnym apelem. Stwierdził, że grozi nam straszliwe niebezpieczeństwo i to od razu z kilku stron: ze strony manipulowania dziedzicznością ludzką, a także ze strony rozwoju samopomnażających się, replikujących urządzeń, które będą udawały pseudożycie. Wreszcie zażądał, żeby wszyscy uczeni świata zostawili naukę zamrożoną w tym stanie, w jakim jest obecnie i złożyli coś w rodzaju przysięgi Hipokratesa, że już więcej nie będą się nauką zajmować. W Davos ów apel został właściwie wyśmiany, ponieważ jest to praktycznie niewykonalne.

Czy z kontynuowania prac naukowych wynikły jakieś merytoryczne konsekwencje?

Argument był taki – jeżeli prace nad genetyką będą kontynuowane, dostaniemy się do niewoli urządzeń, które sami wymyśliśmy, nastąpi zniekształcenie dziedzictwa narodowego, biologicznego, kultury. Roboty może nie zapanują w sensie dosłownym, ale odbiorą ludziom tyle stanowisk pracy, że wybuchnie prawdziwe bezrobocie, a ludzie zamienią się w nowoczesnych luddytów (luddyci złamali pierwszą maszynę parową w Anglii, kiedy zdawało im się, że ta maszyna odbierze stanowiska pracy ludziom, którzy przedtem sami kręcili korbami, napędzając ruch). W tym wystąpieniu na pewno było trochę racji, ale wszystko są to takie strachy na Lachy. Równie dobrze można by powiedzieć: „Proszę państwa, odwróćmy bieg wodospadu Niagara, bo to zapewne wpłynie na nas pozytywnie”. Są pewne procesy, na których przebieg nie mamy żadnego wpływu.

Zadnego?

Ekonomia ma swoje cykle rozwojowe. Nigdy nie można dokładnie przewidzieć, kiedy będzie hossa, a kiedy bessa. Oczywiście są zjawiska, na które mamy wpływ i takie, na które nie mamy żadnego wpływu. Co z tego, że organizacje ekologiczne mają miliony członków, skoro wielki przemysł stojący za administracją Busha wymógł na nim, żeby zrezygnował z jakiegokolwiek narzucania redukcji wyrzutów spalin do atmosfery, chociaż USA odpowiada za 1/4 spalin światowych. To groźna decyzja, ale Stany są potęgą, a nikt rozsądnie myślący nie sprzeciwi się mocarstwu.

Asekuracyjna polityka rządów dotyczy także zaawansowanych badań nad ludzkim genomem. Na razie zainteresowane strony twierdzą, że cele tych badań mają

rodowód wyłącznie humanistyczny, ale tak naprawdę nikt nie wie, co będzie dalej.

Oczywiście istnieje niebezpieczeństwo osobistego dowodu genotypowego, zawierającego skład dziedziczności. Spotykają się tutaj sprzeczne tendencje, ponieważ to, co jest naukowo możliwe, jest niekiedy korzystne. W Niemczech był bardzo głośny przypadek biednego dziecka, dwunastoletniej dziewczynki, która została zgwałcona i brutalnie zamordowana. Dzięki zastosowaniu najnowocześniejszych badań na podstawie zapisu fragmentów błony śluzowej odczytano genetyczny rysopis sprawcy tego mordu, wykryty dzięki śladom, które pozostały na zwłokach tego nieszczęsnego dziecka. To jest znacznie pewniejsza metoda od identyfikacji za pośrednictwem odcisków palców. Uważam to za owocne wykorzystanie badań nad genami. Ale z drugiej strony w ten sam sposób bezowocnie zostało przebadanych osiemnaście tysięcy młodych mężczyzn, co było grubą przesadą.

A przestępca pewnie i tak nie został wykryty...

Dotychczas o tym nie mówiłem głośno, ale jestem zwolennikiem kary śmierci dla tego rodzaju sprawców, którzy namolnie powtarzają akty mordu i gwałtu. Zazwyczaj, nie podlegając terapii, tacy ludzie idą do zamkniętych zakładów psychiatrycznych i mniej więcej po roku psychiatra stwierdza, że pacjent może iść na urlop, bo w zasadzie nic złego nie zrobił. Po czym taki delikwent wychodzi ze szpitala i niemal natychmiast gwałci i morduje kolejne osoby. To jest może banalne stwierdzenie, ale ja uważam, że życie uratowane jest bezcenne i ważniejsze aniżeli życie takiego zwyrodnialca.

Dotknęliśmy tematu bardzo poważnego – granic wolności osobistej. Ale przecież ta nader dowolnie traktowana wolność dotyczy także przekraczania wszelkich reguł i norm chociażby w sztukach pięknych.

Uważam, że w dziedzinie sztuk plastycznych jest daleko posunięta degeneracja. Punktem wyjścia jest terapia szokowa – trzeba koniecznie zrobić coś takiego, co jest niebывale. Ale dla mnie to dziecinada. Z drugiej strony trudno tym sprytnym, acz mało utalentowanym ludziom czeokolwiek zabraniać. Kiedy w Ameryce wystawiono obraz Matki Boskiej obwieszony łajnem słonia, niektóre wpływowe gremia chciały zamknąć wystawę, na której eksponowany był ów okaz. Pierwsza poprawka do konstytucji USA powiada jednak, że wszystko jest dozwolone i nie wolno zabraniać komukolwiek wypowiedzi, także artystycznej. W związku z tym to okropieństwo jeszcze na długo tam pozostało. W międzyczasie jakiś inny artystyczny mędrzec otworzył wystawę istotnie niezwykłą – w ogromnych salach było zupełnie pusto. Sufit, podłoga i nic więcej. Zapytano go: dlaczego tam nie ma? Odparł, że chodziło mu o zupełną swobodę i czystą wolność. Ludzie chodzili to oglądać być może po to, żeby sprawdzić, czy tam naprawdę nie ma, czy może zobaczają jakiegoś przyduszonego karakana. Ręce opadają.

Jeżeli nie wiadomo o co chodzi, to wiadomo, że – nie tylko w tych przypadkach – chodzi o pieniądze. Sacrum z reguły przegrywa z profanum.

Mam małą wnuczkę, postanowiłem kupić jej jakąś ładną i kształcącą zabawkę. Pojechałem do „Carrefoura”, patrzę – a tam same „Pokemony”, „Mały ko-

mandos", nie ma jeszcze „Małego mordercy”, ale zapewne wkrótce dołączy do ekipy. Uporczywie reklamują pieski i kotki płaczące elektronicznymi łzami, ale ja mam w domu cztery psy – i wszystkie są żywe, to po co mam kupować kolejnego pieska na baterię? Jestem może staromodny, ale uważam, że są to już rozmaite aberracje.

Przesyt mentalny nakłada się na przesyt materialny.

Polska, którą zapamiętałem z dzieciństwa, była biednym krajem. Mój ojciec był we Lwowie jednym z najbardziej znanych laryngologów, dorobił się kamienicy, mieliśmy duże, sześciopokojowe mieszkanie, ale kiedy w niedzielę przynosił nam puszkę kompotu wiśniowego, uznawaliśmy to za wydarzenie. Poziom życia był skromny. Dzisiaj za małe pensje ludzie nie mogą kupić wszystkiego i to ich denerwuje. Ale może nie warto mieć wszystkiego, może nie tędy droga.

To rada czy przestroga?

Mówię w swoim imieniu. Proszę spojrzeć, na żadnej z mych rąk nie widać lśniących pierścieni, nie jestem niczym obwieszony, noszę stare portki, sweter, który mam na sobie, mam od dwunastu lat. Po prostu nie przywiązuję do tego wszystkiego wagi. Od czasu do czasu jestem gościem dawnego hotelu „Forum”, dzisiaj „Sofitel”, w którym można sobie poczytać około czterystu pism z całego świata – tyle tylko, że ciągle piszą w nich o tym samym: rugby, tenis, wrotki, dużo golizny, a mnie to nie obchodzi. Czytam, że tegoroczny model samochodu jest lepszy od zeszłorocznego, a ja jeżdżę tym samym mercedesem od kilkunastu lat i bardzo to sobie chwalę. Mój samochód ma 81 000 kilometrów na liczniku, jest lśniący i błyszczący, po co go zmieniać?

Samochody, plastyka, także kino i literatura są produktem, który przy odpowiedniej promocji można naprawdę dobrze sprzedać, vide: sukces przygód „Harry’ego Pottera”.

Harry Potter pani Rowling to w mojej opinii czysty eskapizm, ucieczka od rzeczywistości. Znacznie wygodniej pomyśleć sobie, że dzięki umiejętnościom wyniesionym ze szkoły czarnoksiężstwa można wszystko wyczarować niż obserwować mozolną pracę człowieka nad dekodowaniem genomu ludzkiego albo zajmować się dalekimi, abstrakcyjnymi gwiazdami. Ale mnie właśnie interesują te gwiazdy czy najnowsze wyniki badań naukowych, a nie czary-mary jakiegoś chłopca.

A nie wystarczy zadowolić się faktem, że takie działania istnieją?

Może niektórym wystarczy, mnie nie. Wulgaryzuje się nawet mitologię, w potwornych opowieściach o Herkulesie albo Atenie; nikt nie jest już święty, a jeśli nawet jest, to pokazuje się go na kolanach i bez odrobiny dystansu. Czyli ze skrajności w skrajność. Nie mam jednak wielkich powodów do narzekań – przecież nikt mnie nie zmusza do oglądania filmów. Moje osobiste doświadczenie wskazuje, że jeżeli ktoś chce zrobić w życiu coś poważnego, to powinien jak najmniej zajmować się kinem.

A czy, Pana zdaniem, w dorobku prozatorskim Stanisława Lema jest jakiś utwór szczególnie predestynowany do tego, żeby jednak powstała jego filmowa wersja?

Nigdy się nad tym nie zastanawiałem. W tej chwili są prowadzone ze mną rozmowy na temat sprzedania dalszych, po *Solaris*, opcji. Chodzi o sześć albo siedem tytułów, których szansa filmowa jest, moim zdaniem, bardzo różna. Na przykład *Kongres futurologiczny* by się nadawał do kina. Co do innych tytułów – mam wątpliwości.

To niemal reguła, że autorzy dzieł literackich przenoszonych na ekran nie są usatysfakcjonowani rezultatami tych przedsięwzięć.

Filmowe adaptacje dzieł literackich, których autorzy uważali, że wizja filmowa odpowiadała ich wyobrażeniom, można policzyć na palcach jednej uciętej ręki. Wszyscy narzekali. Mnie na przykład bardzo podobała się *Ziemia obiecana* Wajdy, zwłaszcza w pierwszej wersji, bez tych dziwacznych okrojów quasi-obyczajowych, ale czy Reymont byłby zadowolony? Tego się już nie dowiemy.

Krytycznie ocenia Pan pierwszą, słynną wersję filmową „Solaris” Andrieja Tarkowskiego z 1972 roku.

Filmu nigdy nie widziałem w całości. Moje i Tarkowskiego zapatrywania były zupełnie rozbieżne. Według mnie zakończenie powieści sugeruje, że Kelvin spodziewa się, iż w kosmosie czeka nas coś zdumiewającego. Tarkowski usiłował stworzyć wizję polegającą na tym, że kosmos jest bardzo nieprzyjemny i trzeba natychmiast wracać stamtąd do matki-ziemi, do domu. Byliśmy jak para koni ciągnących wóz w dwie różne strony.

Na rzecz rozważań filozoficznych zaniedbana została wizualna strona dialogów kosmonautów z oceanem.

Równy przez sześć tygodni próbowałem bez większego powodzenia perswadować Tarkowskiemu inne rozmaite kuriozalne pomysły. Tarkowski dodał Kelvinowi całą rodzinę. Pojawiły się jakieś potworne ciotki i babcie, które wobec mojego stanowczego sprzeciwu z powrotem zostały usunięte. Natomiast wydźwięk ostateczny filmu był diametralnie odmienny od tego, który niosła powieść.

Za to Pana opinia na temat najnowszej, hollywoodzkiej wersji „Solaris” (2002) w reżyserii Stevena Soderbergha jest nieoczekiwanie pozytywna. Wcześniej zrzekł się Pan prawa ingerencji w film.

Zrzeczenie się praw do jakiegokolwiek ingerencji, łącznie z rezygnacją z tzw. *moral droits*, było podstawowym warunkiem podpisania umowy z wytwórnią 20th Century Fox. Nie miałem ani też nie chciałem mieć żadnego wpływu na tę adaptację.

Film Stevena Soderbergha nie ma, moim zdaniem, nastroju Pana powieści – ma nastrój własny, budowany między innymi muzyką. Nie rozwija najważniejszych wątków książki, lecz inne rozbudowuje w interesujący sposób.

Chętnie się zgodzę z Pana opinią. Uważam, że dopóki adaptacja nie wykracza otwarcie przeciwko duchowi oryginału, nie przekręca ani nie zaprzecza zawartej tam interpretacji świata, każdy twórca ma prawo podążać swoją własną drogą. Jakkolwiek przyznając, że wizja Soderbergha nie jest pozbawiona ambicji, smaku i klimatu,

wyeksponowanie akurat samego wątku miłosnego mnie nie zachwyciło. Ten obraz bardzo ładnie pachnie, ale z całego bukietu, jaki dostarcza książka, wolę akurat inne aromaty. *Solaris* jest w pewnym sensie dorzeczem, Soderbergh wybrał tylko jeden z jego dopływów. Problem w tym, że nawet taka tragiczno-romantyczna adaptacja wydaje się zbyt wymagająca dla masowego, karmionego hollywoodzką papką odbiorcy. Gdyby ktoś kiedyś poważyl się wiernie i w całości przenieść moją książkę na ekran, obawiam się, że efekty byłyby zrozumiałe dla wąskiej grupy widzów.

Soderbergh podobno niezwykle bał się Pana opinii na temat filmu, był przekonany, że wyśmieję Pan jego wersję.

Rozgrzeszyłem go, dając Soderberghowi – w pewnym sensie – błogosławieństwo.

„Szpital Przemienienia” w reżyserii Edwarda Żebrowskiego, w dosyć powszechnej, także mojej, opinii, uchodzi za najbardziej dojrzałą ekranizację pańskiego utworu w polskim kinie. Ale Żebrowskiego Pan „nie rozgrzeszył”.

Żebrowski wypaczył zupełnie charakter powieści. Szpital został w filmie całkowicie zakatrupiony przez Niemców, a nawet w czasie drugiej wojny światowej dowódca jednostki niemieckiej nie mógł ot tak sobie mordować kogo popadło. Podobnych głupstw była w filmie cała masa, a ja jestem w końcu z wykształcenia lekarzem i nie mógłbym sobie pozwolić na wypisywanie nieodpowiedzialnych medycznych kłamstw.

Poza filmem Żebrowskiego polskie kino kilkakrotnie, z fatalnymi z reguły rezultatami, sięgało jeszcze po Pańską twórczość. Mówił Pan kiedyś, że te filmy na długie lata bardzo mocno zachwiały Pana cierpliwość jako widza.

Powiedzmy sobie szczerze: są tacy, którym odpowiada *Pan Tadeusz* jako film, a mnie nie, bo ja się zadowalam wersją czysto literacką. Polskie kino ma krótki astmatyczny oddech i duże pretensje do świata, że nie potrafi być ciekawsze. Dramatycznie szuka tematów, których nie potrafi wybronić. Ucieka w lektury, opowieści biograficzne. Powiem panu, że bardzo niechętnie przyjąłbym na przykład rezurekcję Marszałka Piłsudskiego na ekranie.

Ależ to już się stało! Telewizja pokazała ośmiodocinkowy serial Andrzeja Trzosa-Rastawieckiego o Marszałku. Przeszedł zupełnie bez echa.

A temat wydawał się taki nośny. Tak naprawdę nigdy nie wiadomo, na co publiczność się rzuci, a co zignoruje. Piłsudski nie jest już, jak widać, pewniakiem.

Sięganie w przeszłość nie jest wyłącznie polską domeną. Ostatnie hollywoodzkie superprodukcje opierają się na literackich pierwowzorach, które powstały wiele lat temu.

Nie ma nic łatwiejszego niż zrobić zły film. To dziecinnie proste. Natomiast zrobić coś dobrego stanowi już pewien kłopot. *Władca pierścienia* Tolkiena powstał kilkadziesiąt lat temu, *Spiderman* to także stareńki komiks. Wydaje mi się, że te filmy to zwykły eskapizm.

Rzeczywistość nie jest atrakcyjna?

Rzeczywistość jest ciekawsza niż to, co proponują reżyserzy. Rzeczywistość zresztą jest zawsze ciekawsza od fikcji. Ma wagę realności. Pytanie tylko – czy ja chciałbym coś takiego oglądać w kinie?

A może nie potrzeba już nowych, rewolucyjnych teorii? W kinie liczy się także mądre korzystanie z tego, co już dawno zostało wymyślone, opisane, nakręcone.

Moim zdaniem nic nie starzeje się tak szybko, jak film. Tempo narracji bardzo się zwiększyło. Teraz nie tylko kino SF operuje szybkim montażem, gwałtownymi zbliżeniami. Przyzwyczajeni do takich wrażeń widzowie nie są już w stanie zaakceptować statycznych dzieł sprzed lat. Filmy z Marylin Monroe mocno trącą myszką, kto dziś pamięta o Kim Novak, a co się stało z Hitchcockiem? Kto dziś ogląda jego filmy? Tempo, w jakim starzeją się filmy, jest jeszcze większe niż tempo, w jakim starzeją się książki.

Klasyka, w tym sztandarowe dzieła Hitchcocka albo niektóre filmy z Marylin Monroe, zupełnie się nie zestarzały. Ciągłe intrygują. Podobnie jest z literaturą.

Cały ogromny repertuar czy biblioteka światowej literatury jest rodzajem przechowalni, z której wyciąga się to, co się może spodobać ludziom. Potem czasem oglądamy efekty tych „adaptacji”. W kinie niewiele jest dzieł, z których czerpałyby następne pokolenia. Bo myślenie zawsze było tu przede wszystkim merkantylne. Ten interes po prostu musiał się opłacać.

A czy dla przyjemności sięga Pan czasem po nowości literatury fantastycznej?

Jakiej znowu przyjemności? Proszę zobaczyć, tutaj na stole leżą stosy jeszcze nieotwartych pism naukowych z całego świata, które mają dla mnie pierwszeństwo, zresztą tak naprawdę w fantastyce nie ma czego czytać. Mam jeszcze cierpliwość przeglądania w amerykańskiej prasie krytyk nowości wydawniczych, także bestsellerów i wygląda na to, że są to wszystko naprawdę słabe historie. Szczytem możliwości intelektualnych autorów tych książek jest przekonanie, że będziemy mieli na głowie przyklejone rozmaite chipy, które będą za nas myślały. To są, proszę pana, skończone brednie.

Jesteśmy świadkami zmierzchu kultury wysokiej?

Nawet gorzej. Kultura wysoka uległa takiemu rozprasowaniu, że staje się powoli płaskim omeletem, który musi właściwie wszystkich zaspokoić. Być może jeszcze gdzieś kilku szaleńców stara się coś sensownego wymyślić, ale to już końcówka.

Postulat bylejakości dzielnie wspiera telewizja.

Telewizja marzy o przychylności przeciętnego widza, a jego wymagania nie są zbyt wyśrubowane. Mało oglądam telewizji, a już zupełnie nie trawię rodzimej TVP. Uważam, że polska telewizja ma okropnie prowincjonalne zadęcie. Panuje tam dziwne wyobrażenie, że jak się ktoś pokaże w TVP, to pół Polski padnie na twarz z wrażenia. Bez przesady. Prawie nie oglądam telewizji.

Ale jeżeli już Pan telewizor włączy...

Ograniczam się do wiadomości i to nie z krajowych stacji, tylko z CNN albo SKY NEWS. Oglądałem też prognozy pogody, ale ostatnio zrezygnowałem, bo te prognozy uporczywie się nie sprawdzają. Nie jesteśmy jeszcze tak rozwinięci, żeby przewidzieć, co się będzie działo następnego dnia. Dzisiaj, o ile pamiętam, miała być okropna pogoda, a jak Pan widzi, było całkiem niezłe.

Z okna pokoju, w którym rozmawiamy, roztacza się piękny widok na ogród.

Jak się widzi codziennie taki ogród, to żyje się przyjemniej. Jest tu bardzo miło – cicho, spokojnie, ten pokój wypełniają woluminy zagranicznych tłumaczy moich książek, a to tylko fragment całości, dalszy ciąg pakuje się do piwnicy.

Jak na „optysemistę” z początku naszej rozmowy nie jest Pan nazbyt łaskawy dla czasów, w których żyjemy. Może przyszłość będzie jednak lepsza, niż nam się to dzisiaj wydaje?

Jedno jest pewne: nic się nie stanie nagle. Prawdopodobieństwo zderzenia ziemi z meteorem, o czym niekiedy wspominają pisma naukowe, jest praktycznie niemożliwe. Znacznie bardziej prawdopodobne jest to, że zostaniemy przejechani przez samochód albo że nam ktoś zrzuci na głowę cegłę. Słońce nie wybuchnie, jutro będzie taki sam dzień jak dzisiaj, a w grudniu przyszłego roku znowu będzie Wigilia.

Rozmawiał
ŁUKASZ MACIEJEWSKI



Solaris, reż. Steven Soderbergh (2002)